

MORPHER
Paweł Dalek

Przyszedł do mnie kilka miesięcy temu. Wyglądał normalnie i zachowywał się normalnie, więc zdziwiło mnie, czego ktoś taki szuka u psychoanalityka. Był umówiony na szesnastą trzydzieści i przyszedł punktualnie. Zapukał delikatnie do drzwi gabinetu i spokojnie poczekał na odpowiedź. Kiedy wszedł, zamknął drzwi i uklonił się lekko z niepewnym wyrazem twarzy. Zawsze zwracam uwagę na to, czy osoba wchodząca do mojego gabinetu zamyka drzwi. Pacjenci, którzy są do mnie kierowani z różnych instytucji nie zawsze odwiedzają mnie dobrowolnie, często dyktowane jest to nakazem sądowym. Świadomie lub nieświadomie często zdarza się, że taki pacjent nie zamknie drzwi. Manifestuje tym swoją pogardę do mojego zawodu, do tego, że musiał tu przyjść oraz to, że nie ma niczego do ukrycia przed światem. Wtedy grzecznie, ale stanowczo nakazuję zamknięcie ich i mogę spokojnie zaczynać terapię wiedząc, że pacjent trochę spokorniał.

Z Jonem Bradleyem sprawa na początku wydawała się prosta. Zamknął drzwi. Ukradkiem zerknąłem w jego kartę, dostarczoną mi z recepcji i stwierdziłem, że zapisał się na wizytę dobrowolnie.

- Aha. – Pomyślałem. – Więc mamy gadułę na pokładzie.

- Panie Bradley, proszę spocząć. – Powiedziałem uśmiechając się przyjaźnie i gestem ręki wskazałem na skórzany fotel, stojący tuż naprzeciw mojego niewielkiego, szklanego biurka.

Mężczyzna zrobił kilka drobnych kroczków w jego kierunku i spojrzał na mnie, jakby czekał na zapewnienie go, że chodziło właśnie o niego i właśnie o ten fotel. Powtórzyłem gest ręką i Bradley niepewnie w nim usiadł. Przyjrzałem mu się dokładnie. Jego wiek oceniłem na jakieś czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat, chociaż mógł mieć trochę mniej. Był niewysokim, szczupłym mężczyzną, mającym duże, lekko wilgotne oczy a najbardziej uwagę zwracał na siebie okazałych rozmiarów nos. Ubrany był w staromodną, kraciastą marynarkę, czarne, gładkie spodnie i biały krawat. Dość dziwna kompozycja konfekcyjna. Kiedy usiadł, zauważyłem, że w ręku dzierży parasolkę. Tym bardziej mnie to zaskoczyło, bo nie padało już od kilku tygodni.

- Po co panu ta parasolka, panie Bradley? – Spytałem patrząc, jak zamiera słysząc mój głos. Tak, jakby miał nadzieję, że podczas tej wizyty nie padnie ani jedno słowo.

- Na wszelki wypadek. – Wydukał łamiącym się głosikiem.

- Uważa pan, że może zacząć padać deszcz?

Popatrzył na mnie a ja widziałem, jak zbiera wszystkie szare komórki w jedno miejsce na naradę wojenną.

- Lepiej mieć i nie potrzebować, niż potrzebować i nie mieć. – Odparł z wyraźną ulgą.

Uśmiechnąłem się jeszcze bardziej.

- Miej nadzieję na najlepsze, ale spodziewaj się najgorszego. – Powiedziałem.

Bradley przez chwilę analizował moje słowa.

- O, właśnie. – Powiedział prawie szeptem.

Poczekalem chwilę, aż usiadzie wygodniej. Kiedy to zrobił, postanowiłem przejść do rzeczy.

- Panie Bradley, wiem, że nie przyszedł pan tu wymieniać się ze mną komunałami na każdą okazję i zmuszony jestem przyznać, że bardzo ciekawi mnie powód pańskiej wizyty. Niech pan wyjaśni mi, najprościej, jak tylko można, dlaczego mam przyjemność gościć pana tutaj.

Mężczyzna usiadł jeszcze głębiej w fotelu. Miałem wrażenie, że mebel zaraz całkowicie go pochłonie. Bradley przypominał mi mojego krewnego w Arizony – wujka Artura. Wujek też był typem człowieka sprawiającego wrażenie, że każdy, nawet najmniejszy powiew wiatru, może go zdmuchnąć z powierzchni ziemi. Jednak w przypadku wujka Artura, były to tylko pozory. Był weteranem. Brał udział zarówno w drugiej wojnie jak i w wojnie koreańskiej. Zajmował się dywersją i w obu tych wojnach został wielokrotnie odznaczony. Jak sprawa miała się z Bradleyem, tego jeszcze nie wiedziałem. Nie sprawiał wrażenia bohatera wojennego ani też kompletnej ciapy. Był nijaki. Jak zero na kole ruletki.

- To nie będzie proste, panie doktorze.

- Proszę mi mówić Alan, jeśli nie będzie to dla pana problemem. – Rzekłem, zauważając, że mężczyzna lekko się rozluźnił.

- Dobrze. – Odparł. – A ja jestem Jon.

Na propozycję wypicia filiżanki herbaty odmówił, tak jakby chciał jak najszybciej przejść do sedna sprawy.

- Alan, to, co ci powiem... - Głos mu się załamał. – Nie liczę, że we wszystko uwierzysz. – Mówił jak ktoś, kto za chwilę ma się rozpłakać.

- Nie denerwuj się i powiedz mi to tak, jak myślisz. – Powiedziałem spokojnie. – Nie szukaj jakiś specjalnych słów czy sformułowań. Mów tak, jak słyszysz to w głowie.

Przez moment słuchał mnie i po raz pierwszy zauważyłem na jego twarzy zwiastun uśmiechu.

- Dobrze. – Rzekł. – Najprościej jak potrafię. Cóż, Alan. Wiesz, czemu tak wyglądam?

To pytanie mnie zaskoczyło. Wyprostowałem się w fotelu.

- Jon, wyglądasz bardzo dobrze. Jesteś elegancko ubrany i przypominasz mi mojego wujka, którego bardzo lubiłem.

- Tak samo wygląda dyrektor banku, mieszczącego się po drugiej stronie ulicy. – Odparł cichym, ale wyraźnie spokojniejszym głosem wskazując gestem głowy w kierunku okna gabinetu.

- Więc jesteś dyrektorem tego banku?

Jon wbił się głębiej w fotel i odłożył parasolkę na podłogę. Splótł dłonie na mostku i popatrzył na mnie, jakby nie wiedział, czy jeszcze cokolwiek powiedzieć, ale myliłem się. Chciał mówić. Wtedy nie wiedziałem nawet, że tak bardzo zmieni to moje własne, poukładane życie.

- Nie Alan. Ja tylko tak wyglądam. Za chwilę z tego banku wyprowadzą dyrektora w asyście policji, prawdopodobnie skutego kajdankami. Nie będzie wiedział nawet, dlaczego, ale na pewno będzie zaskoczony zapisem kamer ochrony. Zobaczy, bowiem, jak wchodzi do sejfów i bierze to. – Jon zza pazuchy marynarki wyciągnął kilka plików banknotów pięćset dolarowych i położył mi je na biurku. – Strażnikowi powiedział, że idzie na spotkanie z inwestorem i potrzebuje tych pieniędzy jako dowód wypłacalności banku. To było wczoraj po południu. Dyrektor akurat jadł lunch, kiedy tam wszedłem i zabrałem pieniądze pod tym lipnym pozorem.

Wstałem z fotela i poszedłem do okna. Naprzeciwko, przed bankiem stał radiowóz z włączonymi kogutami.

- Do teraz sprawa wyszła na jaw. – Rzekł Jon. – Jak tu wchodziłem, wóz policyjny już tam stał.

- Więc przebrałeś się za niego i ukradłeś te pieniądze? – Spytałem. – Czy jesteś może jego bliźniakiem?

- Niezupełnie. – Odparł, a ja zobaczyłem, jak przez drzwi banku policja wyprowadza skutego kajdankami, zdezorientowanego faceta, który wyglądał dokładnie jak człowiek siedzący obok mnie w fotelu. Poczułem zimno na plecach.

- Jon, nie bałeś się przyjść tu do mnie wyglądając dokładnie tak samo, jak człowiek poszukiwany przez policję? Nie mogłeś zmienić przebrania? – Teraz mój głos nieznacznie się załamywał. – Przecież mogłeś paść jak śliwka w kompot.

Człowieczek w fotelu spojrzał na mnie i ręką pokazał, żeby usiadł.

- Powiem ci wszystko od początku do końca, ale musisz obiecać mi, że nikt, absolutnie nikt się o tym nie dowie. Ani rodzina, ani twoja recepcjonistka ani nawet ksiądz na spowiedzi. Jeśli złamiesz słowo, zamienię ci życie w piekło.

- Jon, nie musisz mnie straszyć.

- Nie przerywaj mi. Nie straszę cię. Daję ci jedynie wybór. Albo dochowasz tajemnicy a ja wszystko ci opowiem, albo nie podejmujesz się tego, niczego nie obiecujesz a ja po prostu stąd wychodzę i zapominamy o sprawie. – Mówił spokojnym tonem, ale brzmiał twardo i nieustępliwie. – Natomiast, jeśli przyrzekniesz, a słowo złamiesz, wtedy strasznie tego pożałujesz.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążyłem.

- Nie obawiaj się. Nie jestem ani seryjnym mordercą, ani psychopatą i nikogo nie skrzywdzę. Masz rodzinę?

- Tak, Jon, mam. – Opowiedziałem, nieświadomie ściskając w ręku długopis, który w pewnym momencie pękł. Jon zdawał się tego nawet nie zauważyć. – Żonę i sześciolatniego Krisa.

- Więc ty i twoja rodzina nie zaznacie żadnej krzywdy z mojej strony ani przez to, że złamiesz słowo. – Jon teraz naprawdę się uśmiechnął. – Nie będę musiał nikogo krzywdzić, żeby zamienić ci życie w piekło. Wracając do twojego pytania, to odpowiadam. Nie bałem się. Powiem więcej, przeszedłem obok radiowozu i nawet zwymyślałem siedzącego w środku policjanta, że stanął na środku chodnika.

- Jak to możliwe, przecież na pewno mają zdjęcia i opis dyrektora banku.

- Przysięgasz? – Zapytał podnosząc parasolkę z podłogi tak, jakby szykował się do wyjścia.

- Jon, przysięgam. Obejmuje mnie tajemnica lekarska i...

- Przysięgnij nie jako lekarz, tylko jako człowiek! – Teraz pierwszy raz usłyszałem jak podniósł głos. Przypominał głos przydepniętego niechcący szczura.

- Przysięgam. – Odparłem, nie wiedząc jeszcze, że złamię to przyrzeczenie.

I Jon opowiedział mi część swojej historii.

- Nie bałem się i nawet zwymyślałem tego biednego gliniarza, bo wyglądałem jak zwykły bezdomny. Dopiero po wejściu do tego biurowca, zacząłem wyglądać tak, jak mnie tu widzisz. I jak wczoraj wdział mnie strażnik bankowy.

Szczerze powiedziawszy, nie miałem pojęcia, o czym on mówi.

- Jednym słowem Alan, potrafię zmieniać się w innych ludzi.

Patrzyłem na niego i w głowie miałem pustkę. Mam tu naprawdę wspaniały okaz wariata.

- Chcesz mi powiedzieć, że masz rozdwojenie jaźni, tak?

Westchnął ciężko i popatrzył na mnie z dezaprobatą.

- Chcę ci powiedzieć dokładnie to, co usłyszałeś przed chwilą. Potrafię przybierać postać każdego człowieka na świecie. Czy teraz mnie rozumiesz?

- Tak. – Odparłem. Prawdę powiedziawszy nic nie rozumiałem. Pamiętam jeden odcinek „Z Archiwum X” gdzie facet przybierał postać różnych znanych ludzi i stąd wiem, że takie pomysły rodzą się jedynie w głowach scenarzystów albo trzeciorzędnych pisarzy.

- Nie wydaje mi się, żebyś rozumiał i na pewno twoja głowa żąda jakiegoś dowodu. Zaraz go otrzymasz, ale zanim to nastąpi, muszę powiedzieć jeszcze, że to nie wszystko. Otóż, nie dość, że umiem zamienić się chociażby w Elvisa, to potrafię znajdować się w dwóch miejscach jednocześnie. To się nazywa, bilokacja i na pewno o niej słyszałeś.

Owszem, słyszałem, zdaje się, że w podobnych okolicznościach, co o facecie zmieniającym się w innych ludzi.

- Tak, więc, to są dwie rzeczy, o których powinienes wiedzieć. Gdybym chciał, mógłbym być prezydentem Rosji i jednocześnie, Barackiem Obamą. Wywołanie wojny nuklearnej to dla mnie żaden problem.

- Mówisz to z takim przekonaniem. – Odparłem. – Daj mi dowód.

- Nie ma problemu. – Powiedział i usiadł wygodniej w fotelu. – Czy te drzwi, które znajdują się za mną, a przez które tutaj wszedłem, są jedynymi drzwiami, które prowadzą gdziekolwiek w tym pomieszczeniu?

Fakt, to były jedyne drzwi. Wyjścia pożarowe znajdowały się dopiero w recepcji, przez co miałem trochę problemów z wymaganiami przeciwpożarowymi, ale jakoś udało się to obejść.

- Tak. To jedyne drzwi.

Jon przechylił się w moim kierunku i z uśmiechem popatrzył mi w oczy.

- Czyli twoja recepcjonistka, poczciwa, stara Lois Bukowski, nie mogłaby wejść tutaj, niezauważona przez ciebie, dobrze rozumuję?

-Tak, jak najbardziej. To niemożliwe.

Jon podniósł palec wskazujący i skierował go w miejsce tuż nad moim lewym ramieniem.

- To odwróć się i powiedz mi, co ona tutaj robi? – Wyszeptał tajemniczo.

Za mną stała Lois Bukowski i uśmiechała się swoim trzecim zestawem zębów tak, jak to zawsze miała w zwyczaju. Poderwałem się z fotela i stanąłem jak wryty nerwowo zaciskając i prostując palce.

- Co ona tutaj robi? – Wyszeptałem, głos mi wiązał w gardle i poczułem nagle w nim ogromną suchość.

- To nie ona, to ja.

Powoli zacząłem wycofywać się w stronę drzwi, bacząc, by nie stracić jej z oczu. Patrząc na nią nacisnąłem klamkę i wystawiłem głowę na zewnątrz. Lois siedziała za swoim biurkiem i rozmawiała przez telefon. Kiedy zobaczyła mnie w drzwiach, posłała mi ten swój charakterystyczny uśmiech, który widziałem przed chwilą w swoim gabinecie. Kiedy wróciłem do środka, już jej nie było. Teraz Jon, siedząc w fotelu obdarzał mnie swoim, nieznanym mi do tej pory uśmiechem.

Jeśli wierzyć jego słowom, to Jon musiał mieć coś w rodzaju wypadku.

Znaleziono go na plaży prawie siedem lat temu. Był nagi, nie miał przy sobie niczego, co pomogłoby go zidentyfikować i był w stanie czegoś podobnego do śpiączki. W szpitalu ustalono, że nie ma żadnych uszkodzeń ciała a jego stan jest identyczny ze stanem człowieka, który po prostu śpi. Nieraz, kiedy leżał, zachowywał się, jakby śniło mu się coś złego, przewracał się, jęczał coś niewyraźnie, nie raz płakał.

Obudził się niespełna rok później. Nie umiał mówić, a zwiotczałe mięśnie nie pozwalały mu chodzić. Nie pozostało mu nic innego, jak uczyć się wszystkiego od nowa. Ustalono, że nie pamięta nikogo i niczego ze swojej przeszłości, więc rozesłano jego zdjęcie po całych Stanach Zjednoczonych z pytaniem, czy ktoś jest w stanie rozpoznać tego mężczyznę. Zgłosiła się jedna kobieta z Idacho, która twierdziła, że Jon przypomina jej zaginionego, dwudziestosześcioletniego syna Partacika, ale miała wątpliwości, gdyż opis mężczyzny na zdjęciu wyraźnie mówił: „Brak znaków szczególnych”. Partick – jej syn – natomiast posiadał pokaźną bliznę na brzuchu – pamiątkę po barowej bójce. Kiedy nowojorska policja przesłała jej materiał wideo z nagraniem zachowania Jona, kobieta

definitywnie stwierdziła, że to nie on. Tym oto sposobem, nieznany nikomu mężczyzna, został wpisany do ewidencji ludności jako Jon Bradley, lat dwadzieścia sześć, kawaler.

Rehabilitacja przebiegła mozolnie, z resztą też jak i nauka mówienia, jednak pewnego dnia wszystko się odmieniło.

Jon leżał na szpitalnym łóżku, oglądał telewizję i czekał na przyjście swojego rehabilitanta, pana Maqueza. Jon go bardzo lubił. Marquez był mężczyzną dobiegającym czterdziestki, nosił sumiaste wąsy a przy tym był niski i miał pokaźne brzuszysko. Był człowiekiem bardzo pogodnym i wesołym. Jon każdego dnia z niecierpliwością czekał na jego przybycie i serię świńskich dowcipów, których nie rozumiał, ale które i tak zawsze poprawiały mu humor. Najbardziej zapamiętał ten, jak chłopak dzwoni do swojej dziewczyny i pyta się: - Kochanie, wolisz banany czy truskawki? A ona na to: - A co, jesteś na bazarze? – Nie, w aptecę.

Kiedy naciskał przyciski pilota, a Marquez nie przychodził, na którymś kanale natrafił na reklamę pasty do zębów. Grała w niej ładna, drobna blondynka o prawdziwie perłowych zębach i tak się spodobała Jonowi, że nawet nie zauważył, że stał się nią. Teraz, zamiast niego, na łóżku szpitalnym leżała śliczna kobieta, ubrana w sportowe spodnie i obcisłą, białą bluzeczkę. Jon poczuł prąd przechodzący przez jego ciało i jego umysł zaskoczył. Poczuł, że jest kobietą, ale nie do końca, świadomość bycia nią była nikła, ale wyczuwalna. Nagle zaczął rozumieć wszystko, co się wokół niego dzieje. Miał umysł młodej kobiety z reklamy, wiedział jak się ona nazywa, z kim śpi, co lubi jeść, ale jednocześnie wiedział, że przed chwilą był nikomu nieznanym człowiekiem, który nie potrafił ani chodzić ani mówić. Wstał z łóżka i ruszył do drzwi tak, jakby to robił odkąd tu przybył. W drzwiach zderzył się z Marquezem. Ten spojrzał na niego (na nią), zmierzył wzrokiem jej nienaganną figurę i z filuternym uśmieszkiem spytał:

- Pani do mnie, czy na moje nieszczęście pomyliła pani sale?

Kobieta popatrzyła na niego, po czym wymierzyła mu mocny policzek.

- To za głupie dowcipy o blondynkach. – Warknęła i ruszyła w stronę wyjścia.

Później było już łatwiej. Jon zagrał jako blondynka jeszcze w dwóch reklamach dla wiodących firm kosmetycznych i wynajął sobie mieszkanie w apartamentowcu. Jakież musiało być zdziwienie kobiety, kiedy ujrzała się w reklamie, w której nie zagrała. Korzystał z życia ile się dało. Uwodził kobiety jako mężczyźni z pierwszych stron gazet, ale nigdy jako on sam. Przyczyna była prosta. Nie wiedział, kim naprawdę jest. Najgorsze było to, że małe części umysłu ludzi, w których się zamieniał, pozostawały w nim i niejednokrotnie dochodziło między nimi do konfliktu. Bo jak ma do nich nie dochodzić, kiedy w człowieku

pozostaje część umysłu Adolfa Hitlera i Dalajlamy? Przejawiało się to tym, że słyszał w głowie głosy klóących się osobowości i nie było sposobu na pozbycie się ich aż do momentu utraty przytomności. Wtedy to przestał robić wygłupy w stylu wizyty w restauracji Wendy's i zamówieniu wielkiego, wołowego hamburgera jako Dalajlama i skonsumowaniu go na oczach oniemiałych ludzi. Zazwyczaj na drugi dzień w gazetach pokazywano jego zdjęcie, na którym opycha się ociekającą tłuszczem kanapką z odpowiednią adnotacją, taką jak: „Dalajlama złamał śluby”.

Wtedy z pomocą przyszła mu druga przypadłość. Bilokacja.

Pewnego dnia był sam w swoim mieszkaniu i naprawiał odpływ kranu. Miał wtedy postać, pod którą znało go najbliższe otoczenie, czyli dwudziestoletniego chłopaka, typowego wesółka z sąsiedztwa, który zawsze chętnie pomoże, wniesie starszej pani zakupy, popilnuje psa sąsiadów, czyli taki, jak go określiła ośmioletnia córka sąsiadki „Chudy- Do Rany Przyłóż - W Okularach”. Tak na marginesie, sąsiadka podziękowała mu w dość specyficzny sposób za skręcenie szafki na buty, bo jako rozwódka, miała dość duże potrzeby seksualne. Tamtego wieczora dziękowała mu trzy razy, na drugi dzień, w pralni jeszcze raz, a później sporadycznie, tak przy okazji gdzie się tylko dało, a że była trzydziestoletnią, atrakcyjną kobietą, pomagał jej, kiedy tylko miał taką okazję.

Odpływ zaczął przeciekać jakiś czas temu, ale Jon zauważył to dopiero tego dnia, kiedy odkrył bilokację

Mocował się z umieszczeniem klucza na nakrętce, która była w bardzo niewygodnym, trudno dostępnym miejscu. Druga – śruba dla odmiany, odrobinę mniejsza, była tuż przed nią i należało odkręcić obydwie w przeciwnych kierunkach, dwoma różnymi kluczami. Kiedy Jon złapał większą, zorientował się, że mniejszy klucz leży za daleko i zwyczajnie go nie sięgnie, jeśli wcześniej nie puści klucza a ten zapewne zleci z nakrętki i będzie musiał całą pracę zaczynać od nowa.

- Samemu to gównu a nie robota. – Zaklął pod nosem i wtedy zobaczył siebie schylającego się po klucz i podającego mu go. Znów poczuł ten dreszcz.

Tego wieczora przegadał ze sobą dobre kilka godzin, ale rozmowa z człowiekiem, który ma identyczne zdanie na każdy temat, jest bezowocna, więc jego rozmówca zamienił się jeszcze w kilka postaci, zanim zniknął a Jon poszedł spać.

Po pewnym czasie odczuł wyraźnie, że głosy pojawiają się w jego głowie rzadziej. Widocznie z jednej „skrzynki” zrobiły się dwie, mniej wypełnione i stąd ta ulga. Jego stosunki z sąsiadką znacznie się ochłodziły, po tym, jak spytał się jej, czy nie myślała o związaniu się z nim na poważnie. Tego dnia trochę wypili, więc ta tylko parsknęła śmiechem i z rozbijającą

szczerością odparła, że nie jest jedynym kogutem w jej kurniku i że nie ma zamiaru rezygnować z pozostałych. Nigdy jednak nie zapomni wyrazu jej twarzy, kiedy ona, z siatką pełną zakupów otwierała swoje mieszkanie, a od niego akurat wychodziła Jenifer Lopez, drugiego dnia Jessica Alba, trzeciego Anna Kurnikova a potem jeszcze Madonna i wiele innych kobiet, które uważane są za światowe piękności. Wszystkie całowały go w policzek, szeptały, że był cudowny (oczywiście tak, żeby to słyszała) i odchodziły do windy, kręcąc krągłościami. Tylko pocziwa Madonna pokazała jej środkowy palec, kiedy ta patrzyła na nią z rozdziawioną buzią. Kiedy znikwały w windzie, znikwały też naprawdę. Jon uważał to za doskonałą zabawę, a po pewnym czasie mógł przysiąc, że zauważył u sąsiadki pierwsze oznaki siwiejących włosów. Kiedy pewnego dnia przyszła go przeprosić, drzwi otworzył jej Bruce Willis, grzecznie poinformował, że Jona nie ma i po prostu wpadł popilnować mu mieszkania. Na propozycję sąsiadki w stylu: „A może chcesz mnie zerznąć?” Odparł, że owszem, ale na bezludnej wyspie i to pod warunkiem, że nie byłoby na niej owiec. I tak zakończył się romans Jona z sąsiadką Amandą. Filmik z jej udziałem można było znaleźć swego czasu w Internecie pod tytułem: „Amanda i jej ogórek – zabawy samotnej rozwódki”.

- Alan, czuję, że skrzynki znów są pełne. – Powiedział cicho. – Znów mam mętlik w głowie i słyszę głosy coraz częściej.

Słuchałem jego opowieści jak zahipnotyzowany i nawet nie zauważyłem, że zwrócił się do mnie.

- Alan?

Otrząsnąłem się jak ze snu. Mój rozum nie umiał sobie zbyt dobrze poradzić z tym, co zobaczył i usłyszał. Po chwili wróciłem do rzeczywistości i znów zauważyłem, że moje palce nerwowo zaciskają się i prostują.

- Mówisz, że nie wiesz, kim jesteś, tak? – Spytałem, nie mając bladego pojęcia, jak dalej potoczyć rozmowę.

- Tak.

- I absolutnie nic nie pamiętasz sprzed czasu, kiedy znaleziono cię na plaży?

Jon wziął do ręki mój mały breloczek z misiem – prezent od Krisa – i zaczął się nim bawić.

- Nic. – Odparł. – Nawet najmniejszych przebłysków. Zakręcił breloczkiem na palcu. – Dlaczego nie masz do niego przypiętych kluczy?

- To prezent od syna, dostałem go na gwiazdkę. Sam wybrał w sklepie, więc ma dla mnie wartość sentymentalną, a nie użytkową.

- Ładny. – Powiedział odkładając go powrotem na biurko, dokładnie w miejsce, skąd go wzięł. – Twój dzieciak ma dobry gust.

Nie powiedziałem mu, że Kris jest dzieckiem autystycznym i że wybór breloczka polegał po prostu na wskazaniu go palcem po zadaniu pytania: „Co dasz tatusiowi?”. Mój synek był wtedy w sklepie z zabawkami razem z jego opiekunką medyczną Anną, która od początku, kiedy tylko zdiagnozowano problem, uczyła Krisa i ich, jak kontaktować się nawzajem.

- Wracając do twojej sprawy, Jon, coś mi przyszło do głowy. – Powiedziałem i zobaczyłem jak jego oczy wypełniają się nadzieją.

- Co mianowicie?

- Powiedziałeś, że znaleziono cię nagiego na plaży, bez dokumentów, ubrania i pamięci. Powiedziałeś również, że nic nie pamiętasz i że nikt nie był w stanie cię zidentyfikować, dobrze zrozumiałem?

Jon skinął głową.

- Wydaje mi się, i chyba mam rację, że zdrowi, młodzi mężczyźni nie spadają z nieba, chociaż zapewne wiele kobiet byłoby tym faktem uradowanych. Trudno jest zrozumieć, że pojawiłeś się znikąd i nie znałeś nawet swojego nazwiska, adresu, czegokolwiek. Znaleziono cię, a ty spałeś prawie rok. Nie miałeś żadnych obrażeń, wody w płucach, co sugerowałoby, że na brzeg wyrzuciło cię morze.

- Do czego zmierzasz?

- Po tym, co mi tutaj dziś pokazałeś, jedyna logiczna odpowiedź, którą jestem ci w stanie podać brzmi, że jesteś efektem bilokacji jakiegoś innego człowieka, który też potrafi to robić, lub też jest nawet nieświadomy tego faktu.

Jon zaśmiał się. Pierwszy raz zobaczyłem u niego przejaw nie radości, ale wręcz wesołości.

- Chcesz mi powiedzieć, że siedem lat temu ktoś mnie po prostu wymyślił a ja pojawiłem się goły, jak mnie bozia stworzyła, na plaży?

- Jeżeli potrafiłeś pokazać stojącą za moimi plecami Lois, to dlaczego ktoś inny nie mógł tego samego zrobić z tobą? Może zrobił to i zapomniał o tym, a ty zostałeś.

Jon przestał się uśmiechać, masując palcami jednej ręki palec serdeczny drugiej.

- Jest w tym pewien sens. Tyle tylko, że nie mówimy tutaj już o bilokacji, ale o trilokacji. Ten ktoś, ja i w tym przypadku Lois czy ktokolwiek inny. – Wymienił na palcach.

- Jeżeli tak jest, to chyba będziesz musiał dowiedzieć się, kim ten ktoś jest.

- Ale jak?

- Może uda ci się usłyszeć jakiś obcy głos. Głos kogoś, w kogo nigdy się nie zamieniłeś? Dałbyś radę poznać głos kogoś takiego?

Jon wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i spojrzał na mnie pytająco. Skinąłem głową na znak, że może zapalić i podsunąłem mu popielniczkę.

Zapalił papierosa i zaciągnął się z wyraźnym zadowoleniem. Dyrektor banku musiał być nałogowym palaczem.

- Nie będzie to proste, ale chyba jest możliwe.

Nie było możliwe. Ilekroć Jon słyszał głosy, nie mógł wyodrębnić tego jednego, jedyne go głosu, który odgradzał go od rozwikłania zagadki. Miał parę „typów”, ale prędzej czy później okazywało się, że trop był błędny.

Był u mnie jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem pod inną postacią, ale to nie otworzyło mojego umysłu na tyle, by rozwikłać jego problem.

Z czasem zżyliśmy się i zaprzyjaźniliśmy w stopniu, na jakie pozawalają relacje między pacjentem a psychoanalitykiem. Nie było to proste, przyznam, bo jak można zaprzyjaźnić się i zrozumieć kogoś, kto twierdzi, iż umie się zamieniać w innych ludzi i do tego być go dwóch? Niemniej jednak chciałem z całych sił być świadkiem rozwikłania tej historii. No i byłem, a wierzcie mi, że to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, mając terazniejszą wiedzę.

Pewnego dnia dowiedziałem się, że Jon dokonał okrutnej i krwawej zbrodni. Siedziałem w swoim gabinecie, oczekując na pacjenta, który spóźniał się kilkanaście minut i rozmyślałem o tym, co dzieje się z Jonem. Był to, jak się później okazało, dziwny przypadek telepatii. Jon był w moim gabinecie dzień wcześniej. Sprawiał wrażenie przygaszonego, nie żartował, wyglądał jak ktoś, kogo opuściły wszelkie siły. Na koniec spotkania powiedział tylko, że na następną wizytę umówi się telefonicznie i jeszcze raz zastrzegł, żebym nikomu o nim nie mówił. Zanim wspomnienie naszej ostatniej rozmowy przebiegło mi przez myśl, zadzwonił telefon.

- Witaj Alan. – Usłyszałem jego głos w słuchawce i mimo, że brzmiał zupełnie inaczej, doskonale wiedziałem, że to on.

- Cześć Jon, chcesz się umówić na kolejną wizytę? Powiedz mi, że tak.

W słuchawce nastała cisza, przerywana jedynie cichym oddechem rozmówcy.

- Nie. Chciałem ci powiedzieć, że dłużej tego nie wytrzymam. Te głosy. One mnie przerastają. Mam wrażenie, że to głosy wszystkich ludzi na świecie, nie tylko tych, w których się przemieniam.

- Ale to niemożliwe, Jon. – Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał mi.

- Wiem, ale tak się czuję. Muszę zrobić coś potwornego. Im mniej ludzi na świecie, tym lepiej dla mnie.

- Co chcesz zrobić, na boga!

- W telewizji na pewno powiedzą.

Rozłączył się a ja siedziałem ze słuchawką w jednym ręku a z pilotem od telewizora w drugim, nie zdając sobie sprawy, że bezmyślnie zmieniam kanały.

Około dwie godziny później, główny kanał informacyjny podał, co zaszło. Mecz ligi NBA, który był rozgrywany tego dnia przez Los Angeles Lakers przeciwko Charlotte Hornets, został przerwany przez szaleńca, który otworzył ogień do widzów siedzących w jego sektorze. Osobnik ten miał przy sobie broń automatyczną MAC-10 i ponad dwadzieścia magazynków, ukrytych w plecaku. Dawało to sześćset sztuk amunicji.

Patrzyłem na zapis z kamer, który właśnie był relacjonowany. Mężczyzna miał długie, jasne włosy, pociągłą twarz i wyglądał jak jeden z bohaterów post apokaliptycznych filmów science fiction. Strzelał dość przemyślnie, nie na oślep, ale dokładnie i metodycznie celował do swoich ofiar. Kiedy w sektorze wybuchła panika i ludzie zaczęli uciekać z krzykiem, wtedy strzelał już, gdzie popadło. Widziałem kobietę, która trzymając na rękach swoje może czteroletnie dziecko, próbowała przedostać się bezpiecznie do wyjścia, ale po chwili jej głowa zamieniła się w chmurę krwi, ochłapów tkanki, oraz kawałków czaszki. Druga kula przestrzeliła ją i tułów dziecka, po czym oboje padli martwi w kałużę własnej krwi. Ludzie krzyczeli, płakali i modlili się. Jakaś nastolatka usiadła powrotem na swoim miejscu, złożyła ręce i kiwała się w przód i w tył, szepcząc pod nosem niesłyszalną modlitwę, lecz ją też zauważył. Po chwili konała, targana konwulsjami, a z jej przestrzelonego gardła tryskała ciemna, tętnicza krew. Mężczyzna cały czas strzelał, powoli zmieniał magazynki i znów strzelał a potem upadł między rzędy i nikt go już więcej nie widział. Służby ratownicze znalazły w tym miejscu jedynie wystraszonego, starszego, łysiejącego człowieka, który nie odniósł poważniejszych obrażeń. Jak to możliwe, że wniósł taki arsenał na teren obiektu? Dla niego było to bardzo proste. Wystarczyło, żeby na chwilę zmienił się w jednego pracowników ochrony i sprawa załatwiona. Znajomy kolega ochroniarz z plecakiem nie budził wśród innych podejrzeń.

W rezultacie zginęło blisko pięćset osób, z czego ponad trzysta od postrzału, reszta to ofiary stratowania. Rany i obrażenia poniosło około tysiąca osób.

Relacja z tego wydarzenia emitowana była w tej chwili na wszystkich możliwych kanałach a ja siedziałem, nie czując nawet, jak z szeroko otwartych oczu płynie istna rzeka łez. Tego dnia wróciłem do domu wcześniej.

Przez cały wieczór nie odezwałem się ani słowem. Żona widziała, że to, co zaszło na boisku koszykarskim, bardzo mnie poruszyło. Ją z resztą też. Kolację zjedliśmy w milczeniu, a Kris i Anna siedzieli z nami. Zjedliśmy, po czym pocałowałem dziecko w czoło, życząc mu dobrej nocy i poprosiłem Annę, by położyła go spać. Kris spojrzał na mnie i uśmiechnął się nieznacznie. Nie był to jego pierwszy uśmiech, bo od jakiegoś czasu zaczął reagować na więcej bodźców. Trzeba przyznać, że Anna była doskonałą terapeutką, która w dodatku umie się mocno zaangażować w to, co robi.

Kiedy Kris już zasnął, Anna porozmawiała jeszcze z nami o właśnie mijającym dniu, po czym udała się do swojego domu.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę w salonie, po czym zgodnie doszliśmy do wniosku, że idziemy do łóżka. Kiedy już tam byliśmy, ja leżałem wpatrując się w sufit, a kątem oka widziałem wpatrującą się we mnie parę najpiękniejszych oczu na świecie.

- Co cię gryzie? – Spytała i przytuliła się delikatnie.

Wyrwałem się z zamyślenia i spojrzałem na nią. Była i nadal jest naprawdę piękna, jak w dniu, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy. Było to dość specyficzne zapoznanie dwojga ludzi. Nie wiem, jak to opisać, ale w pewien wiosenny poranek, kiedy stałem na światłach skrzyżowania, ta piękna kobieta z całym impetem uderzyła we mnie swoim rowerem i wylądowała na masce mojego samochodu. Wtedy to pierwszy raz zobaczyłem tak piękne, szafirowe oczy i byłem cały jej.

- To przez to całe dzisiejsze zdarzenie.

Westchnęła cicho a ja czułem brzoskwiniowy zapach jej ognistych włosów.

- Wiem, to straszne.

Objąłem ją ramieniem i pocałowałem w czubek głowy.

- Ale jest jeszcze coś. – Powiedziałem. I to był największy błąd mojego życia.

Opowiedziałem jej o Jonie. O tym, jak do mnie przyszedł, jak udowodnił swoje zdolności. Opowiedziałem o tym, jak próbowaliśmy tego zaniechać i znaleźć przyczynę. W końcu opowiedziałem o porannym telefonie od Jona i o tym, co zrobił na meczu koszykówki. To była długa opowieść, ale słuchała jej w milczeniu, skupiając uwagę na każdym moim

słowie. Kiedy skończyłem, oboje milczeliśmy dość długo. W końcu objęła mnie za szyję, wtuliła się w moją pierś i szepnęła.

- Przykro mi kochanie. Wierzę w to wszystko i naprawdę bardzo mi przykro.

W tym momencie drzwi naszej sypialni otworzyły się lekko i ujrzelśmy w nich Krisa.

- Wejdz, kochanie. – Powiedziałem uśmiechając się. – Chodź do nas, bo zmarzną ci nóżki.

Kris wszedł i patrzył na nas na zmianę. Ręce miał złożone jak do modlitwy i pukał końcami palców o siebie. Zbliżył się jeszcze o kilka kroków, po czym stanął i nadal w nas się wpatrywał. Wtedy to wypowiedział pierwsze i ostatnie słowa, jakie od niego usłyszeliśmy.

- Teraz już wiem, kim jestem, Alan.

Moja żona nie wiedziała, na kogo patrzeć. Na niego, czy na mnie. Krzyczałem do momentu utraty przytomności.